

Opis wycieczki,

odbytej w 1855 r. przez uczniów klasy VI Szkoły Kieleckiej,
do Miedzianej Góry i Sielpi,

przez

Włodzimierza Kondakiego.

W r. 1855 uczniowie klasy VI Szkoły Wyższej Realnej w Kielcach, pod przewodnictwem nauczyciela chemii i technologii, Rogalewicza i nauczyciela mineralogii i geologii, Święcieckiego, udali się na ekskursyjną parudniową do Miedzianej Góry i stamtąd do rządowego zakładu puddlingarni i walcowni żelaza w Sielpi.

Na kilku parokonnych furmankach, zaopatrzeni w odpowiednią prowizyję, siedząc po kilku na wiązках słomy, kilimkami przykrytej, wyjechaliśmy z miasta w porządku i cichości, eskortowani przez nauczycieli na ostatniej farmance we dwóch jadących. Za rogatką Staro-Warszawską, około karczmy, wówczas zwanej Ferszterówką, rozległ się na jednej z furmanek śpiew z ówczesnych motywów szkolnych. Pomimo turkotu kół, za chwilę wszystka młodzież chórem powtarzała zwrotki. Koniki chłopskie biegły szybko, a czas, jak zwyczajnie młodym, jeszcze prędzej. Niebawem dojechaliśmy do Miedzianej Góry.

Podówczas były tu prowadzone przez niejakiego Kłosowskiego bardzo głębokie i kosztowne poszukiwania rud miedzi, i dla tego nauczyciel Święciecki, postanowił skorzystać z okazji i praktycznie zaznajomić młodzież z przedmiotem. Zatrzymaliśmy się przy karczynie. Zwoławszy nas, Święciecki oprowadzał swą rzeszę po starych zrobach dawnej kopalni, po sąsiednich wzgórzach, złożonych ze skał różnorodnych i na wyniosłym pagórku, gdzie dotąd jeszcze stoi kaplica, wykladał pod gołym niebem, teorię osadzania się z wody morskiej różnych skał, teorię podniesień i opadań skorupy ziemskiej, oraz czynników, wytwarzających rudy metaliczne, w łonie ziemi ukryte. Wykład trwał parę godzin. Zasluchani, wiankiem otoczyliśmy dokola, kochanego prawdziwie profesora i nie było znać uśmiechu na młodych twarzach, z trudnością zazwyczaj ulegających

poważniejszej myśli. Cudowne widoki dalekiej panoramy gór Dymińskich, miasta Kielc i Karczówki, zielone doliny, a przytem wywołane obrazy niezmiernie odległej przeszłości, bałwanów morskich, kruszących w różnych epokach geologicznych skały dawniejsze⁴ i żłobiących te właśnie doliny— usposobiły nasz umysł o tyle poważnie, że schodząc z góry, milczeliśmy wszyscy, zadając od czasu do czasu szanownemu profesorowi pytania, w związku z treścią jego wykładu będące. Święcicki każdemu z anielską cierpliwością, przystając na spadkach, odpowiadał i powstałą wyjaśniał wątpliwość. Po zejściu z góry kaplicznej, wszyscy bez wyjątku udali się do szybu, od strony Kostomłót po za wsią Miedziana Góra zgłębnego. W tym szybie naówczas pracowało kilkunastu ludzi. Szyb dubeltowy, jak go ocenił Święcicki, wzorowo odbudowany, przykryty był tak zwaną jata, czyli szopą z tarcic. Nad szybem była urządzoną winda, do wyciągania osobno wody, osobno ziemi i rudy. Z tego powodu szyb był podzielony na trzy części; w środkowej, od góry do samego dołu, podzielonej balami, były przymocowane drabiny i tak zwane bony czyli przystanki, służące do odpoczynku ludziom przy schodzeniu i wychodzeniu z kopalni. Pod przewodnictwem miejscowego sztygara, któremu Święcicki polecił wprowadzić młodzież do kopalni i objaśnić szczegóły robót górniczych, cembrowania, i samej pracy, dokonywanej kilofem, w znacznej większości, zeszliśmy po drabinkach pod ziemię. Przystanków czyli bon było 10; że zaś każda drabina miała długości 4 sążnie, więc szyb cały był głęboki na 40 sążni, i schodzenie po drabinach, ukośnie w przedziale umocowanych, trwało z górą 20 minut, a ten przeciąg czasu wydał nam się niezmiernie długim. Na samym dole pozapalano wszystkie, jakie były, lampki górnicze, i co drugi uczeń przyświecał sobie i następnemu. Idąc za sztygarem po chodniku poziomym, widzieliśmy po obu stronach na prawo i na lewo, powycinane tak zwane sztreki czyli galeryje śledcze. Gdyśmy się już przypatrzyli obudowie na chodnikach i sposobowi posuwania kibli z rudą i ziemią, po listwicach ku szybowi, ponieważ było bardzo ciasno dla kilkunastu ludzi w jednym miejscu, sztygar skierował nas w najciekawszy punkt, do przodka roboczego, gdzie dwu górników, przy świetle lampek, robiło tak zwaną podcinę kilofami, trzeci, siedząc, sortował rudę i nakładał w kibel, a czwarty wywoził ją czyli śleprował.

W łupkach ilastych, ciemno szarych, a jak przy świetle lampek, prawie czarnych, tkwiły gniazdzka błyszczących piryków żelaznych i liczne naloty lazuru miedzi. Same łupki szare, jak nam objaśnił Święcicki, były ubogą rudą, tak zwaną miedzią szarą i właśnie z powodu, że ta ruda była ubogą, musiano zaniechać dalszych robót poszukiwawczych, kosztownych dlatego, iż był bardzo silny napływ wody podziemnej, kilku bowiem ludzi bezustannie wyciągało wodę z kopalni beczkami. Pamiętam wrażenie nieprzyjemne z powodu zagęszczonego powietrza kopciem z lampek i oddychaniem kilkunastu ludzi... Wszystkim było duszno,

śpieszyliśmy też z powrotem ku szybowi, gdzie z przyjemnością każdy odetchnął swobodniej.

Wychodzenie z kopalni trwało znacznie krócej, bo każdy rad był jak najprędzej wydobyć się z podziemia na świat boży. Nie jest za prawdę w stanie wyrazić uczucia błogiego zadowolenia, na widok światła dziennego ten, kto pod ziemią, nieprzyjemnych nie doświadczył wrażeń!

Wypocząwszy pod jatą i zdawszy sprawę czekającym na nas nauczycielom, udaliśmy się razem w kierunku karczmy i furmanek z prowizyją. Zapracowaliśmy uczciwie na obiad, a ponieważ żołądki młode, przyzwyczajone do regularnego posiłku południowego, pozostawały czczemi blisko do godziny 4-ej, więc też z wilczym apetytem rzuciliśmy się na zapasy. W życiu swoim nie pamiętam, czy kiedykolwiek później zjadłem coś smaczniejszego nad bułki, serdelki i zimne mięsiwo, zapijane lichą wodą miedzianogórską.

O godzinie piątej wsiedliśmy znowu na furmanki i z odgłosem piosenek, wesoło podróżowaliśmy dalej.

W Barakach czyli w Bobrzy, gdzie przy szosie pod górą stoi mur olbrzymi, pamiątka głupoty ludzkiej i gdzie istnieje stok, zwany „ponczowym” z powodu, że przy budowie rzucono do niego głowy cukru i lano z baryłek arak, a potem raczono się ponczykiem, wysiedliśmy dla zwiedzenia tych ruin i obejrzenia skał czerwonego piaskowca, obnażonego pod górą. Konie wytechnęły tutaj przez kwadrans. Napiliśmy się czystej, krynicznej wody i pojechali dalej. W Mniowie, również w ciągu kwadransa, zwiedziliśmy kamieniołom wapienia przy samym kościele i już późnym zmrokiem dotarliśmy do Sielpi, gdzie uprzedzony o przybyciu młodzieży zawiadowca miejscowy ś. p. Zawadzki przyjął wszystkich na nocleg.

Olbrzymi dom piętrowy, murowany, mający pozór hotelu, z korytarzami pośrodku, mógłby pomieścić i dwa razy więcej ludzi. Uczniowie rozlokowali się na dole, nauczycieli zabrał gospodarz na piętro. Po wspólnej kolacyi, nanoszono snopów słomy do naszych pokojów, rozesłano ją grubo i przykryto dywanami, a ponieważ zabrakło poduszek, więc po dwie, trzy i cztery głowy spoczywały na jednej. Śmiech, śpiewy, żarciki i koncepty sypały się, jak z rogu obfitości. W całym domu wrzało jak w ulu, od głosów ludzkich. Nareszcie koło północy wszystko ucichło, zasnęliśmy i spali prawie do siódmej rano. Po śniadaniu udaliśmy się wszyscy do zakładu, gdzie nauczyciel, Rogalewicz wykladał nam praktycznie proces pudlingowania żelaza, pozostając z nami przez cały czas trwania jednej szarży, to jest od chwili założenia zimnej surowizny do pieca pudlowego, aż do chwili, gdy wytworzona z tej surowizny bryła, czyli lupa żelazna, była przekuta pod młotem pudlowym i stała się kolbą.

Przy robocie kruczem czyli drągiem żelaznym, próbowaliśmy kolejno zastępować robotników. Ciężka to była robota nad siły nasze! Rogalewicz wyjaśniał nam proces odwęglania surowizny i wskazywał stopień temperatury ognia w różnych momentach pudlowania, przyjmującego

różne, aż do białości, odcienia kolorów. Przeszliśmy potem do pieców szwejsowych, gdzie kolby grzano powtórnie na białe i poddawano je następnie pod walce, z pomiędzy których wychodziło gotowe żelazo w sztabach.

Obejrawszy w szczególach całą maszyneryją walcowni, przerysowaliśmy od ręki profile pieców, oglądaliśmy suszarnie drzewa i nożyce do obcinania żelaza na zimno, a ukończywszy tę naukę praktyczną około godziny trzeciej po południu i spożywszy wspaniały obiad w domu gościnnego gospodarza zakładu, o godzinie piątej wsiedliśmy na furmanki zdążając z powrotem do miasta i Szkoły.

KONIEC.



2. H.
053464